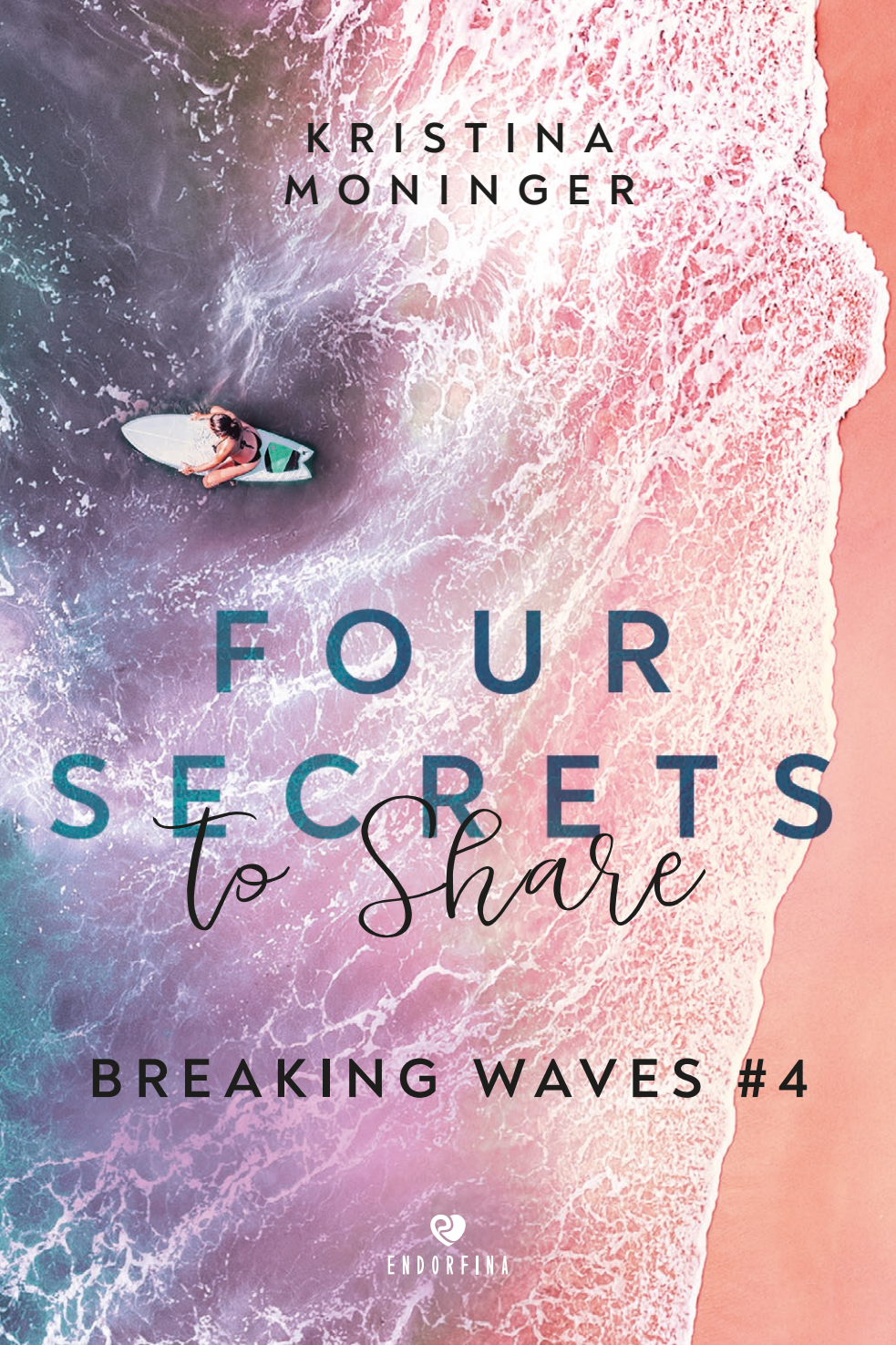




KRISTINA
MONINGER

FOUR
SECRETS
to Share

BREAKING WAVES #4

KRISTINA
MONINGER

FOUR
SECRETS
To Share

BREAKING WAVES #4

PRZEKŁAD
ANNA GRYSIŃSKA



ENDORFINA



WSTĘP

Idziemy w stronę brzegu, niosąc nad głowami nasze deski surfingowe. Każda z nas ma na szyi lei, tradycyjny hawajski wieniec z kwiatów. Chociaż ceremonia paddle out nie należy do naszej kultury, ani też nie jest jedną z naszych tradycji, to właśnie tak chcemy uczcić pamięć bliskich nam osób. Ma to dla nas o wiele głębsze znaczenie niż pochowanie trumny w ziemi.

W tamtym dniu, gdy byłam w szpitalu, stało się jasne, że właśnie tak chcemy zrobić. Nasze pożegnanie musiało się w jakiś sposób wiązać z surfingiem. Z falami i z łączącym nas poczuciem wspólnoty. Wspólnoty ludzkiej i wspólnoty z przyrodą. Nie mamy zwłok, które mogłybyśmy złożyć w grobie. Wystarczy jednak znaleźć równowagę własnych emocji i razem wypłynąć na deskach w ocean. Płyniemy więc obok siebie, a nasze ramiona uderzają w wodę z całą siłą i energią wszechświata.

W tym momencie uświadamiam sobie, że tworzymy jedność. Jesteśmy rodziną. Odnalezienie siostrzeństwa to także

oznaka szacunku. Rozdzieliły nas minione lata i wydarzenia, tajemnice i intrygi. Lecz tutaj zbliżamy się do siebie, mając świadomość tej głębokiej więzi.

W żadnym języku nie ma takich słów, które mogłyby wyrazić, co czuję tu i teraz, gdy otaczają mnie te kobiety. Porozumiewamy się ze sobą w milczeniu, zatrzymujemy się w jednym miejscu na wodzie, obracamy deski i tworzymy niewielki krąg. Siadamy na deskach, trzymając nogi po lewej i prawej stronie, wyciągamy do siebie ręce. Łączą się nasze dłonie i łączą się nasze serca. Emocje przepływają przeze mnie jak fale, przenikając całe moje wnętrze. Czuję złość i miłość, rozpacz przeszłości i euforię nowego początku, smutek i radość, przygnębienie i nadzieję. W jednym miejscu, tu i teraz, gromadzą się te wszystkie emocje, a nasze ciała wspólnie tworzą krąg.

Kolejno zdejmujemy naszyjniki z kwiatów. Robimy to powoli i z namaszczeniem. Jesteśmy gotowe, aby rzucić je na sam środek naszego koła. Celebrujemy pożegnanie, celebrujemy życie.

Po chwili nasze głosy intonują pieśń, którą przedtem wspólnie wybrałyśmy.

Ho ike mai ke aloha – Niech twoja miłość płynie przez cały świat i wzleci niczym ptak.



1

– No dobra, *aloha* – mruczę pod nosem.

Siedzę na jednym z krzesełek w kolorze żywej zieleni, które mój współlokator, Meduza, ustawił przed naszym spartańsko urządzonym domkiem. Obserwuję grupę wysiadającą z autokaru, który przed chwilą tutaj zaparkował. Turyści lustrują skromne, spokojne otoczenie, lecz ono z pewnością nie odpowiada ich wyobrażeniom o Hawajach. Wprawdzie tutaj przy Kamehameha Highway palmy kołyszą się na wietrze, lecz pozostały krajobraz nie jest zbyt spektakularny. Nie ma tu nic poza kilkoma podniszczonymi przez wiatr, niepozornymi chatkami, białymi pawilonami ze sprzętem dla surferów i dwoma food truckami. Po drugiej stronie ulicy znajduje się parking, niewielka, skalista zatoczka i barierki.

Miejsce spotkania dla wycieczkowiczów to mój pierwszy psikus. Niby dlaczego ja miałabym gdziekolwiek się ruszać, skoro ta zgraja równie dobrze może przyjechać do mnie? Meduza, który tak naprawdę ma na imię Benni, uważa,

że jestem pretensjonalna. Wydaje mi się jednak, że właściwie nie wie nawet, co dokładnie to słowo oznacza.

– Twoje dzisiejsze ofiary? – pyta Meduza i podaje mi kubek kawy. – Biedaki.

– Oj tam, sami sobie wybrali taki los. Znów chcesz się założyć?

– Skąd przyjechali? – dopytuje się, przekrzywiając na bok głowę z okropną fryzurą z dredów przyciętych na grzybka i głaszcząc się po równie okropnym wąsie.

Meduza, jak prawie każdy, kto mieszka na Hawajach, ma przodków pochodzących z różnych krajów. Jest jak drzewo, którego korzenie rozchodzą się na wszystkie strony świata. Jego geny są tak samo wielobarwne, jak towar, który sprzedaje w swoim sklepiku.

– Z Europy, przeważnie z Niemiec.

– Dobrze, w takim razie założę się, że zapytają cię już po pięciu minutach.

– Dzisiaj jesteś odważny, co? – uśmiecham się z lekką ironią.

– Europejczycy, a zwłaszcza Niemcy, są bardzo bezpośredni – stwierdza.

– Tak, a ilu znasz Niemców?

Meduza wzrusza ramionami.

– Na pewno dwóch lub trzech. No więc, co sądzisz? Kiedy cię zapytają, jak to się stało?

– Po wstępie, jeszcze zanim dotrą do Pupukea. Daję im piętnaście minut.

– Stawka? – pyta Meduza i siada obok mnie na niebieskim leżaku.

Mebel jest tak samo tandetny i plastikowy, jak wieńce ze sztucznych kwiatów na szyjach tych dwóch blondynek, które stoją po drugiej stronie ulicy, rozglądając się z niezadowolonym wyrazem twarzy.

– Spam musubi z Waikane Store – odpowiadam bez zastanowienia.

– Cholera, Lee, chyba sobie żartujesz? – irytuje się Meduza i wypłuwa gumę na wysuszoną trawę, wprost pod moje stopy. – Mam jechać prawie sześćdziesiąt kilometrów po kawałek grillowanego mięsa z ryżem?

Wzruszam ramionami.

– Grillowane i karmelizowane. Zapomniałeś jeszcze o liściach nori. Kocham spam musubi i tylko dlatego zostałam na Hawajach.

– Niby gdzie miałybyś zostać? – pyta, niczego nie rozumiejąc.

Powinnam odpowiedzieć na to pytanie nie tylko jemu, ale też sobie. Ma jednak całkowitą rację, bo dokąd miałabym wyjechać? Czy jestem tutaj, czy gdziekolwiek indziej – nie ma to żadnego znaczenia. Zmiana miejsca nie zmieni mojej sytuacji.

Podaję Meduzie rękę, żebyśmy mogli przybić zakład. Potem przechodzę na drugą stronę ulicy i witam grupę z autokaru:

– Mam na imię Lee i dzisiaj będę waszą przewodniczką. Pochodzę stąd i jeśli się spodziewacie, że będę wam

gadać o nudnych faktach typu liczba mieszkańców czy powierzchnia kwadratowa i o innych tego typu bzdurach, to jak najszybciej powinniście zmienić wycieczkę. Gwarantuję, że nie zawiozę was tam, gdzie lądują wszyscy, jasne? No więc, jeśli w swoich modnych plecakach z recyklingu bananowych liści macie listę rzeczy do zrobienia na O'ahu, możecie ją w prawidłowy sposób zutylizować – wskazałam na śmietnik stojący za mną przy ulicy – albo w domu zrobicie z niej fajne ognisko. Jeśli chcecie zobaczyć modne miejsca do robienia zdjęć, możecie sobie obejrzać filmik na YouTube. Jeśli ktoś chciałby wiedzieć, to na pewno nie pojedziemy na Waikiki Beach.

Pełne zakłopotania milczenie, nieśmiałe chichoty. Dokładnie tego się spodziewałam.

W pewnym momencie wycieczki, gdy opowiadałam wymyśloną historyjkę o utracie swojej lewej ręki, spoglądałam na krajobraz przez szybę autokaru. Na fale, które rozbijają się na dole przy Laniakea Beach, plaży znanej z żółwi olbrzymich. Patrzę na soczystą zielen wznoszących się gór i na domy znajdujące się w miejscach o tak pięknie brzmiących nazwach jak Mokuleia i Waialua. Chciałabym coś poczuć i przynajmniej cieszyć się pięknem tej przyrody. Jednak w moim wnętrzu nie ma niczego oprócz ogromnej pustki.

– Jesteś najgorszą przewodniczką, jaką znam – narzeka Milo, kierowca autokaru, gdy po zakończeniu wycieczki wychodzę z pojazdu. Jego różowa koszula idealnie pasuje do logo Pearl Travel.

– Uznam to za komplement – odpowiadam i staram się uśmiechnąć. – Tak w ogóle, czy wiesz, co mają ze sobą wspólnego turyści w każdym miejscu na świecie?

– Nie wiem, powiedz mi – wzdycha Milo.

– Wszędzie są tak samo głupi.

Milo się nie śmieje, lecz patrzy na mnie poważnym wzrokiem.

– Lee Baker, nie sądzisz, że nieco przesadzasz ze swoją nienawiścią do całego świata?

Spoglądam na niego z zaskoczeniem.

– To nieprawda, ja kocham świat.

– W takim razie chyba nie kochasz siebie.

Jego słowa sprawiają, że po raz pierwszy nie wiem, co powinnam odpowiedzieć. Rzeczywiście, on ma rację. Nie kocham siebie. Przestałam siebie kochać.

* * *

Po powrocie do domu zastaję Meduzę siedzącego na kanapie i objadającego się czymś. Na kolanach ma glinianą miskę, którą kiedyś przytargała Dakota, gdy przeżywała fazę własnoręcznego wyrabiania garnków. Cholera jasna, dlaczego tutaj nadal są jej rzeczy? Tak jakby nawet po jej wyjeździe chciały nam ciągle przypominać o tym, że dawniej to był też jej dom. Jutro wezmę tę miskę i postawię ją obok innych rzeczy w sklepie Meduzy. Tak samo zrobiłam z płetwami, deską i wszystkimi innymi rzeczami, które tutaj zostawiła tak, jakby mogła jeszcze do mnie wrócić.

Obserwuję Meduzę. Ten wariat nie zadał sobie nawet trudu, żeby zdjąć z siebie piankę. Wokół niego zaczyna się tworzyć małe jezioro.

– Hej, *bandita* – woła do mnie.

Uważa to za zabawne, ale ja mam inne zdanie. Meduza jest jednak jedyną osobą, która może mnie tak nazywać.

– Ktoś tu jeszcze jest? – To pytanie jest w zasadzie niepotrzebne, bo tutaj zawsze ktoś jest.

Dom jest nie tylko po sam sufit zawalony sprzętem surfingowym, meblami i wszelkimi wielkogabarytowymi rupieciami, mieszka też w nim o wiele za dużo ludzi.

Dwa tylne pokoje jednopiętrowego domu przy plaży wynajęłam trzem typom z Australii. W salonie co jakiś czas nocują dwie dziewczyny z Europy, Karina i Mareike. Karina mówi z akcentem, który tak bardzo przypomina mi akcent Avery z jej pierwszych lat pobytu w Stanach, że ciężko mi to wytrzymać.

Kiedy tutaj przyjeżdżają, Meduza zwija się w kłębek na swojej karimacie. Niekiedy ktoś śpi nawet w wannie. No, ale to Hawaje! Kto spędza czas w domu? Tutaj ludzie siedzą nad morzem, pływają – wszystko się kręci wokół surfowania i nurkowania. Tak samo było kiedyś ze mną. Gdy mieszkałam tu z Dakotą, zawsze miałyśmy jakichś współlokatorów, chociaż nie w takiej liczbie. Teraz jednak sama tracę czasami orientację i nie wiem, kto przytargał ze sobą kogo, żeby pomieszkać tu przez kilka dni.

W szczycie sezonu, który właśnie się zaczyna, przez dom przewija się nawet dwudziestu surferów. Nie licząc tych,

którzy śpią w swoich vanach na parkingu. Kiedyś naprawdę to kochałam, teraz chce mi się rzygać, gdy to wszystko widzę. Najchętniej wywaliłabym ich wszystkich jeszcze dzisiaj. Wszystkich poza Meduzą. Ale North Shore na O'ahu to drogi kawałek ziemi. Liczy się każdy grosz. A jedno trzeba tym ludziom przyznać. Nadal zachowują się wobec mnie tak, jakbym była jedną z nich. Poza Meduzą nikt nie wspomina o tym, że nie surfowałam już od dwóch lat, trzech miesięcy i czternastu dni.

– Znowu coś do ciebie przyszło – wyrывa mnie z rozmyślań Meduza.

Uderza dłonią obok siebie, w miejscu, gdzie piętrzy się stos kopert.

– Nie chcesz w końcu ich przeczytać?

– Nie – odpowiadam.

Naprawdę nie mam ochoty, żeby po raz kolejny czytać przeprosiny Dakoty lub jej miłosne obietnice, które, szczerze mówiąc, mam totalnie gdzieś.

– Dlaczego zamawiasz gazety z Karoliny Południowej, a potem w ogóle ich nie czytasz?

– Otwierałeś moje listy?

– Ja? – pyta z niewinną miną.

– Skąd w takim razie wiesz, że w kopertach są gazety?

– Nie znalazłem tam nic ciekawego.

– Meduza!

– Co?

– Słyszałeś kiedyś o tajemnicy korespondencji?

– Coś tam słyszałem, ale w komunie to nie obowiązuje.

– To nie jest żadna komuna, tylko wspólnota służąca jednemu celowi.

– Och – Meduza teatralnym gestem chwyta się za serce.

Siadam obok niego, w samym środku basenu z morskiej wody. Obok listów, które dziwnym trafem są jeszcze suche.

– Aha, ktoś do ciebie dzwonił!

– Kto?

– Nie odebrałem – odpowiada z oburzeniem. – W końcu to twój telefon. Chociaż ciągle go tutaj zostawiasz, tak jak listy. Zobaczyłem tylko numer kierunkowy. 843. Kto mógł do ciebie dzwonić z Karoliny Południowej?

Meduza to jeden z moich najlepszych przyjaciół, chyba jedyny prawdziwy przyjaciel, od kiedy odeszli Parker... i Dakota. Tylko że on nie zna całej historii. Nie wie, że nie pochodzę z San Francisco, tak jak zwykle twierdzę, lecz z małej wyspy na Wschodnim Wybrzeżu.

– Nic mi to nie mówi – kwituję. – Pewnie pomyłka.

A może jednak nie? Po tylu latach raczej żadna z dziewczyn nie mogłaby się do mnie odezwać. Ja sama też się do nich nie odzywałam. Zawsze chciałam to zrobić, ale nie wiedziałam, co miałabym im powiedzieć. A potem, gdy naprawdę były mi potrzebne, czułam się tak, jakbym miała je wykorzystać. Jak ktoś, kto po raz pierwszy biegnie do kościoła, gdy znajdzie się w beznadziejnej sytuacji, choć przedtem miał Boga głęboko gdzieś.

Nie potrzebowałam litości. Ani od Avery, ani od Odiny, ani od Isy. „Może to był telefon od Parkera?” – szepnęła we

mnie jakiś cichy głos. Ale nie miałam żadnych złudzeń, że to on.

- Powiedz no, czym się tak obżerasz? Coś jeszcze zostało?
- pytam Meduzę, starając się skupić myśli na czymś innym.
- Danie z kukurydzy. Nawet nie trzeba do tego sztuców - mówi i szczerzy zęby.

Tak jakbym przez ostatnie dwa lata, trzy miesiące i czternaście dni jadła, używając noża i widelca.

- Dupek - opowiadam i też się śmieję.
 - Kto wygrał dzisiejszy zakład?
 - Ja - odpowiadam. - Mało jednak brakowało.
 - Czy ktoś się rozplakał?
 - Nie, ale Milo jest wściekły. Na spływie kajakowym wróciłam jedną dziewczynę.
 - Co takiego zrobiłaś?
 - Stawiała opór przed zrobieniem eskimoskiego obrotu, więc jej pomogłam.
- Meduza się śmieje.
- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego jeszcze cię nie zwolnili.

Wzruszam ramionami.

- To dobra historyjka; wszyscy chcą usłyszeć o kobiecie, której rekin odgryzł rękę.

- To TY jesteś dupkiem - mówi Meduza i śmieje się tak głośno, aż podskakują mu dredy.

- Wiem - zgadzam się z nim i zabieram mu miskę z kolan. - Póki nie załatwisz mi spam musubi, zjem to gównu.



2

Płoszę kilka dzikich kur, siadam na schodach, które prowadzą wprost nad Banzai Pipeline, i obserwuję fale. Przypominam sobie cholernie piękne, cholernie słynne zdjęcie, na którym siedzę na tych schodach. W innych czasach. W innym życiu.

„Dom przy North Shore, niewiarygodne” – w mojej wyobraźni rozbrzmiewają słowa Parkera. A może sama powinnam je wypowiedzieć, a on tylko przewróci oczami? Nie mam pojęcia, dlaczego wciąż tworzę w myślach takie historie. Chociaż już nie tak często, jak przez pierwsze lata mojego życia na Hawajach. Kiedy wypływałam na desce z tunelu, nie spadając z niej, kiedy po raz pierwszy stanęłam na sześciometrowej fali, albo zimą, kiedy gigantyczne fale nadchodzące z głębi Pacyfiku ukazały całe piękno i całą moc Pipeline oraz jej trzech raf koralowych. Wtedy zawsze myślałam o Parkerze. Próbowалам sobie wyobrazić, że jest tutaj ze mną. Nigdy mi się to nie udało, bo nie potrafiłam przenieść jego chirurgicznie precyzyjnych obrotów na desce,

jego elegancji i tej bezwzględnej woli na innych surferów, których tyłu tutaj spotykałam.

Teraz w październiku, czyli tuż przed szczytem sezonu, plaże wypełniają się szybciej niż zazwyczaj. Zimą, kiedy fale na North Shore sięgają zenitu, świat surferów nieustannie przeżywa swój błękitnozielony cud – Pipeline jest wtedy w swojej najlepszej formie. Kilku surferów stoi już teraz na line-upie. Czuję, jak coś mnie ściska w żołądku, i instynktownie nasuwam czapkę na twarz. Co za traf, że widnieje na niej logo zawodów World Tour sprzed dwóch lat. Tamtych zawodów, w których nie popłynęłam. To jak symbol wszystkiego, co straciłam po wypadku. Mojej ręki, Dakoty, mojej pracy, moich sponsorów, mojej pasji, porządnej porcji życiowej odwagi i udziału właśnie w tych zawodach. Zdobyłam za to cholerną pracę przewodniczki wycieczek, ogromną ilość współczucia, bóle fantomowe, tonę sarkazmu zmieszanego z cynizmem i miejsce na trybunie wśród widzów. Choć sprawia mi to cholerny ból, nie mogę przestać obserwować surferów, którzy na Banzai Pipeline każdego dnia rzucają się w ogromne fale. Znów skupiam się na morzu, które wznosi się niczym wielka błękitna góra.

Rozglądam się i odruchowo obejmuję ręką w pasie, lecz nikt nie patrzy w moją stronę. To, co mam najciekawszego, czyli kikut brakującej ręki, chowam w rękawie kurtki. Nie chcę, żeby ktoś zauważył brak jednej kończyny. W internecie przeczytałam, że jedna ręka stanowi sześć procent wagi całego ciała. W moim przypadku to niecałe trzy kilogramy. Bardzo malutko. Mniej więcej tyle samo waży longboard.

Albo dwa shortboardy, które leżą tam na plaży. Zaskakująco niewiele w porównaniu z ciężarem wywołanym przez ten brak. Ech, pieprz się, Dakota!

Żeby przegonić myśli o byłej dziewczynie, wolę się skupić na Parkerze. On zawsze był komentatorem zawodów, który siedział w mojej głowie.

„Łagodne linie”. „Ten obrót, absolutnie epicki”. „Co za bestia z tej fali”. „Wielka sekcja, ona wylatuje, jeden obrót i wypływa z tunelu”.

Gdy tylko odwracam wzrok od surferów, w moich myślach zaczynają się przebijać pełne wyrzutu słowa Parkera. „Przecież mogłabyś znów surfować. Są deski z uchwyta-
mi, nic nie stoi na przeszkodzie. Spójrz na Bethany Hamilton, Lee”.

Ech, Parker, lepiej się zamknij!

Na wzburzone morze wypływa właśnie Griffin Chipman. Ten facet jest jeszcze bardziej stuknięty niż ja i nie boi się żadnego ryzyka, choć jest jeszcze cholernie młody. Jest przy tym jednak cholernie dobry. Po Chipie spodziewam się przynajmniej tyle, ile po kobiecie, która jest obok niego na line-upie. Carissa Moore mogłaby zostać pierwszą mistrzynią olimpijską w surfingu. Przeżyłam ślinę. Podczas ostatnich mistrzostw, ponad dwa lata temu, gdy byłam tylko widzem, wypowiedziała słowa, których nigdy nie zapomnę: „Lee Baker, byłabyś w stanie mnie przewyższyć rangą. To wstyd. Gdybym miała się kogoś obawiać, to właśnie ciebie”. Teraz nikt się już mnie nie boi. Co najwyżej to ja boję się samej siebie.

Mimo to nadal nie mogę oderwać wzroku. Ten widok ma w sobie coś majestatycznego. Surferzy jeden po drugim łapią falę i rzucają się w zielono lśniąca tubę, której tak dawno nie widziałam od wewnątrz. Czekam, aż fale się splaszczą, a na line-upie będą stać tylko kooki i pozerzy.

– Co z tobą, *bandita*, ruszysz w końcu tyłek? Impreza zaczyna się rozkręcać. Czy może mam ci pomóc, bo nagle zabrakło ci też nogi? – wołanie Meduzy wyrывa mnie z rozmyślań.

– Dobra, dupku, już idę.

Idę na górę. Na tarasie do swojej gitary dorwał się Kenny, który nocuje w chatce surferskiej. Wokół niego zebrał się spory tłumek ludzi. Całą scenerię oświetla stary łańcuch z lampkami, który wiele lat temu Dakota rozwiesiła na drzewach. Krążą butelki piwa, na podłodze z drewnianych desek siedzą ludzie, przeważnie boso. Kilka desek oparto o balustradę, a na podniszczonych meblach tarasowych schną mokre pianki. Nawet jeśli nie weźmie się pod uwagę tych rzeczy, na pierwszy rzut oka widać, że to miejscówka surferów. Miguel, jeden z Brazylijczyków, jak zawsze ma na głowie dziwną chustę i wielkie okulary, bez których się nie pokazuje, od kiedy pozował do albumu z fotografiami. Wszystkim mówi, że przez cały rok śpi w wanie, choć w rzeczywistości żeruje na mnie i żyje na mój koszt. Mareike uwalila się na kolanach Kariny i cały ten obrazek aż za bardzo przypomina zdjęcie wspaniałej rodziny. Ten widok sprawia, że coś zaczyna ścisnąć mnie w żołądku. Tak, jakbym cały czas była głodna. Tak, jakbym miała ochotę zjeść spaghetti na patyku.

O Boże, to było tak dawno. W ostatnim czasie coś za często się zdarza, że przeszłość zaciska się na mojej szyi.

– Hej, Baker, masz jakąś ulubioną piosenkę? – pyta Kenny, gdy siadam po turecku obok Miguela.

Pod wpływem jakiegoś impulsu pytam go:

– Znasz nowy kawałek Force of Habit?

– *One Second*?

Kiwam głową.

– Jasne! – uśmiecha się szeroko.

Oczywiście Kenny nie ma pojęcia, że przez wiele lat surfowałam razem z Avery. Że kiedyś była moją przyjaciółką. Nie uwierzyłby w ani jedno moje słowo i pomyślałby, że to kolejna z moich historyjek.

– Przynieś ukulele i zagraj ze mną! – prosi.

– Czy to konieczne? – odpowiadam najbardziej obojętnym tonem, na jaki mnie stać, choć nagle moje serce zaczyna bić szybciej.

Żałuję, że nie mogę wycofać swojego życzenia i nie wybrałam jakieś punkowej piosenki z lat dziewięćdziesiątych, ale Kenny zaczyna już grać pierwsze takty. Na chwilę pozwalam sobie pomyśleć o Avery. O Isie. O Odinie. Przypominam sobie też o Josie. Meduza wykorzystuje ten moment zamyślenia, przynosi ukulele i kładzie mi je na kolanach. W przeciwieństwie do deski po wypadku nie odstawiłam tego instrumentu w kąt. Wprawdzie nie mogę go trzymać w obu rękach, ale znam odpowiednie techniki uderzania w struny i dzięki nim mogę zagrać przynajmniej kilka piosenek. Czuję, że wszyscy starają się na mnie nie gapić.

PIĘĆ DZIEWCZYN, CZTERY HISTORIE, JEDEN WIELKI SEKRET

Avery, Isabella, Odina, Lee i Josie – pięć dziewczyn, które obóz surfingowy na małej wyspie połączył na całe życie. Miały siedemnaście lat i wiedziały, że przeżywają lato swojego życia. Tak przynajmniej było do dnia, w którym Josie nagle zniknęła bez śladu...

Dziesięć lat później Lee czuje, że sięgnęła dna. Jej kariera zawodowej surferki dobiegła końca, a życie na Hawajach legło w gruzach. Wtedy dociera do niej niepokojąca wiadomość z Harbour Bridge. Mimo bolesnych wspomnień i złamanego serca wraca na wyspę – do miejsca, którego tak naprawdę nigdy do końca nie opuściła.

Zatrzymuje się w rzekomo pustym domu Parkera, jej dawnej miłości. Nie wie jednak, że czekają tam na nią nie tylko duchy przeszłości...

Co zrobi Lee, gdy w końcu spotka przyjaciółki sprzed lat? Dziewczyny, którym nigdy nie wyznała całej prawdy o tamtym lecie... Lecie, w którym Josie zniknęła.

Ostatni tom trzymającej w napięciu serii *Breaking Waves*!

Czy prawda w końcu wyjdzie na jaw?



/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoendorfina

ISBN 978-83-8231-543-1



9 788382 315431

MT25005E
Cena 59,90 zł